

Wiesław Szymański

*Dzień nie odchodzi,
noc nie chce przyjść...*

Wiesław Szymański

*Dzień nie odchodzi,
noc nie chce przyjść...*

*a światłość w ciemności świeci
i ciemność jej nie ogarnęła.*

Ewangelia według św. Jana, I, 5-6.

ŚWIĘTOJAŃSKA

Seria poetycka

10

Pod redakcją

Jana Czykwina i Jana Leorczuka

Związek Literatów Polskich

Oddział w Białymstoku

WBP Białystok-EO-97/1665/8

Wiesław Szymański

*Dzień nie odchodzi,
noc nie chce przyjść...*

bieszczacy - W

Białystok 1997

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
im. Łukasza Górnickiego
Nr 88938
CZYTELNIA KSIĄŻEK

821.162.1-1
884-1



*dzień nie odchodzi
noc nie chce przyjść
pustynia ciszy
otwiera drzwi*

*prowadzisz mnie
tchnieniem bólu
milczenia szelestem
z krańca na kraniec
ponad przestrzeń
w lustra odwrotność
na wskroś oddechu*

*z promieniem światła się ścigam
i w miejscach tak wielu
jestem -
chwilą
gdy dzień nie odchodzi
a noc
nie chce przyjść*

*po szybach
resztkami chmur
spływa
zmiersch*

*milczenie
roznieca iskry
w kącikach ust*

*noc
rozrzuca gwiazdy
po galaktykach marzeń*

*księżyc
rozmazuje
po twojej skórze
grzechy*

*jesteś
ponad krajobraz*

*wyższa
nad tęczę
burz wiosennych*

nieuchwytna postaćcom

*gońcom
wieczornych różańców*

niosę
twoim łąkom
mgłę —
w pocałunkach

tęczę —
w szeptach

echo
dyszące za moimi plecami —
niesie
dudnienie kos

nadszedł oto
czas
wybierania

wargami
rzeźbię
w kamieniu pamięci
równinę pleców
i grzbiety piersi

kołysaniem
łęki skóry
zapisuję w atomach
topografię życia

kto wie
czy tam dokąd zmierzamy
materia zna
taką formę istnienia

może
za milion gwiazd
będę mógł
znów ciebie
stworzyć

zwiastujesz
łaki nieodkrytych imion

podróżnych
uczysz
mieszkać w moim domu

okna
naprzeciw zdarzeniom
na oścież
otwierasz

wątpiącym pielgrzymom
roznosisz wodę
chleb rozmnażasz
wskazujesz drogę

modłę się
niech cię omija
kurz czasu

zanim ruszy słońce
wzlecimy
ponad tęczę

odnajdziemy
planetę barw
ciekawszych
niż biel pościeli
i czern gazet

zanim słońce
spije poranną rosę
z zaspanych traw
po drugiej stronie
światła
uczyć się będziemy
krajobrazu
bez horyzontu

*w cień pąsów uciekasz
płatki tulisz
w zaułkach aksamitu*

*niechby zostały
choć kolce*

*ślady
po których rozpoznam ciebie
na straganie
z kwiatami*

*w tobie
ocean ciszy
i krzyk
jak włosy
Kasandry*

*przepaść bólu
której
nóż nie dosięgnie
ani echo
nie dotknie
nieszczere*

*kosmos życia
mleczna droga nerwów
w galaktyce skóry
meteory tańczą*

w tobie

*na wieżach piersi
biją kuranty*

*pora
karmienia żrenic*

*czas
karmienia palców
o opuszkach
głodnych
aż do szorstkości dotyku*

*w objęciach przypadkowych dłoni
filiżanki
stygnań szybciej
niż rozgrzane słońcem
liście herbaty*

*książki na obcych półkach
w zimnych domach
tulą w szronach okładek
zziębnięte kartki
wspominając
ślady naszych palców
pośród rzędów liter*

*parasol -
w biurze uczuć znalezionych
brzoza w parku
ścieżka -
przystanek autobusowy*

*a my
gdzie
jesteśmy*

*zanim zaprosisz noc
na wieczorną herbatę
spróbuj powiedzieć:
— kocham dzień
który mija*

*wiatrom w konarach bloków
oddaj liście bólu
uszom ścian -
nie żałuj przekleństw*

*w mokre szyby
świata
którego nigdy nie poznasz
wykrzycz tży*

*a potem mnie pocatujesz
dolejesz oliwy do lampy
nastawisz czajnik*

*powiem:
— kocham dzień
który mija*

*a ty zaprosisz
noc
na wieczorną herbatę
z konfiturą tęsknoty*



*opuścił mnie
mój księżyc*

*nie zauważyłem —
przed laty
czy wczoraj*

*w pierwszą
czy ostatnią naszą
noc*

*zostawił mnie
i włączy się teraz
ramię w ramię
z twoim*

*kiedy zapalasz lampę
albo stoisz naga w oknie
widzę go*

*opuścił mnie
mój księżyc
a ty wciąż pytasz
czy cię kocham*

*ktoś nas umówił
na dłuższą randkę
pod drzewem tego
i owego
na skrzyżowaniu światów*

*wyznaczył czas
miejsce i reguły gry*

*mogło być gorzej
choć i tęsknić można
do Nowego Jorku
czy Barcelony*

*układamy pasjans
na przekór kalendarzom
a kiedy skończą się karty
ruszymy w drogę
— do następnego spotkania
— w innym barze
— na rogu ?
— wszechświata ?*

*już i z fotela wieczorem
uciekasz
rzucając w przestrzeń gęstą
od mgły zamyslenia
pocałunki krótsze
niż
reklama sera*

*nie dopijasz herbaty
pachnącej znużeniem
nie powtarzasz półgłosem
prognozy pogody
w chmurach prześcieradeł
śpiewasz kołysanki
potomkom nocnych wypraw
po runo
nadziei*

*i tylko przed księżycem
otwierasz ramiona
armii jego światła oddając na podbój
twierdze białych piersi
których nie broni
ani jeden żołnierz*

z ołowianym sercem

*i tylko słowa
otuchy i wiary
lgną do poduszki
zmęczone przymusem
broniąc nas przed ciszą
rozpełzłą po skórze*

*na kuchennym stole
płaskim jak bezsenność
rozwałkowałem noc*

*zawinę w nią
poranne łzy
krople niecierpliwości
zepsute winogrona
przedświtów*

*zapakuję
słowa niepotrzebne
niezakwitłe róże
pocałunki judaszowe*

wyrzucę to na śmietnik

*usiądziemy przy pustym stole
i spróbujemy
jeszcze
raz*

*stepowieją nasze dłonie
w samotności*

*pustynnieją nasze wargi
bez czułości*

*wysychają rzeki ramion
opuszczone*

*umierają ptaki oczu
wygłodzone*

*zasypuje nam języki
piach uproszczeń*

*kamienieją nasze serca
bez miłości*

*sen się skrada po równinach pościeli
ciągnie ciemność na smyczy
jak psa*

*czy to nie ty — naga w czerni i bieli
a ten cień nagi obok
to ja ?*

*on odchodzi po drabinie księżycy
w tunel nieba w poświęcie
bez dna*

*na nią czeka gwiazdny rydwan z woźnicą
i orkiestra cisz nocnych
już gra*

*nim się Piotr trzykroć zaprze Jezusa
przewędrują galaktyk
ze sto*

*z kalendarzy dni niedobre wyrzucą
głodny Zodiak nakarmią
mgłą*

*ranek pełźnie po pustyni podłogi
wlecze szereg widoków
głosów*

*stoisz naga w lawinie jasności
kurz wszechświatów otrząsasz
z włosów*

*a kiedy
prześnią się sny
zateśkniesz
do zieleni*

*kiedy
kosmosy zdobędziesz
światło prześcigniesz*

ciszę warg

zapomnisz

*gałęzie krzyczą
zielenią*

*liście duszą się
słońcem*

*kwiaty
nektarem spocone*

*muszle kasztanów
pękają cicho*

*spróbuj
wytuskać mnie
jak
kastan
ze skorupy
lęku*

*na ramieniu żurawia
przy studni
usiedliśmy na chwilę
ja
i księżyc
zmęczeni biegiem
obywatele świata*

*wlewamy
w kielichy nozdrzy
maciejkę
lipę i kminek*

*przegryzamy młodym tatarakiem
zielonym
jak sny naszych synów*

*po trzeciej kolejce
ogłoszonej przez chrypiącego koguta
mój kompan wpada do studni
a ja z rozpacz
rzucam się w pościel nieba
na chmur ciała
dojrzałe*

*sypiesz z włosów piasek
w kurhanach myśli
usypiasz kłamstwo*

*na rany przykładasz
sól życia
smakujesz ból
aż do białości palców
i zgasłej czerni źrenic*

*spopielaty kości
poległych w bitwach zbędnych
więc
po co ostrzysz miecze
rozpalasz stosy
pod krzyżami
na których strzępy cieni
śmieją się
prosto w twarz
katom*

*to nie Charon czeka na brzegu
to nie Styks
lecz rozpędzony tunel strachu
w pogoni dnia*

*nie łódź —
wagon metra*

*nie wiatr
z krainy szczęśliwości —
lecz oddech pychy
śmiertelny*

*nie Lucyfer
nie Judasz
człowiek —
zblądził między światłem
i cieniem
między dniem
i nocą*

*i wielu jeszcze zblądzi
nim Charon
powróci nad rzekę*

*kiedy różaniec
ogniem w dłonie pali
modłę się rano
różańcem konwalii*

*gdy nutą pieśni
błuznię zamiast chwalić
śpiewam ci przed snem
moje własne psalmy*

*kiedy purpurą
łopocą sztandary
w wierszu szukam prawdy
miłości
i wiary*

z dłoni
której nie wyciągnąłem na powitanie
z ust
szminkowanych kłamstwem i modlitwą

ze spojrzeń nienawistnych
i zapatrzeń lubieżnych
ze słowa kamienia
i słowa puchu

ze słowa
którego żałowałem
i za które żałować będę

z drżenia ręki
między Ojca
i Syna

i z rąk opuszczenia
między dniem
i nocą

wiersz rozgrzesza

ten okruch chleba co spada na ciało
zmęczone nocą
ostygłe i senne
jak kropla nieba co w domu zostało
ogrzewa myśli
i słowa zakłęte
wygnane z serca
i ustom zamknięte
szeptane w kątach pająkom na ucho
płonące słowa
i myśli spalone
by kwitły - nie wiesz
czy kłamać
czy śpiewać

czy dłonie ustrzec
przed chleba okruchem
czy ustom chleba odmówić
czy ciała

na stole skóry
jak ziarno nadziei
czy zniszczyć - nie wiesz
czy też ucałować

nawet
szczeliny okna

ani
źdźbła trawy

i skrawka nieba

na ciszę krwi
nawet
ogarka
gromnicy

nie oglądając się na porę roku
wbrew woli przyjaciół
i wrogów
ku rozpaczycy podszytej blichтром
ku radości
nieudaczników

w majestacie prawa
i państwa
w błyskach kamer
w ciszy zaułków
pokorni
pochylają się ku ziemi
milczący tracą pamięć
zmęczeni odchodzą

mijają nas
pochłoniętych miłością i zdradą
nie pytając o wysokość pomników
ordery
ani o miejsce
w zwietrzalej historii

wątpić każdego dnia
w poprawę pogody
niższe podatki
w słowo
powszednie jak chleb

wątpić i pytać
znakiem krzyża pospiesznym
dotykami dłoni
stertą książek
i chłodem warg

pytać i nie wiedzieć
Nic
oprócz imienia
koloru oczu
skurczu serca
brzmienia głosu

nie wiedzieć za wszelką cenę
lecz wątpić
każdego dnia
wierzyć i kochać
pokochać zwątpienie
żeby wiary nie stracić

i szukać

nie pulsuje krew
nie raduje smak
ucichł skóry stęp
milczy włosów wiatr

nie odnajdziesz mnie
płynę rzeką zórz
otulony w biel
na granicy snów

chmurą pośród chmur
kropłą pośród mórz
krzykiem tam gdzie ból
raną tam gdzie nóż

dzwoni serca szkło
oddech skrył się w cień
nie przychodzi noc
nie odchodzi dzień

zmarznięta bryła słońca
w purpurowej mgłę stycznia. Odwilż
serca. Krople rosy
na rzęsach — inaczej nie miałoby
sensu — a tak chociaż tży
na słodko

uśmieć by się do rozpuku
albo rozpęku
tętnic
ale bez pukania
do drzwi czasu

jeszcze za wcześnie
nie dotarliśmy
na drugą stronę
filizanki — nie potrafimy

a zegary
starzeją się
coraz szybciej

4.01.97

*nie dzwonię na drugi brzeg
telegramów strachem podszytych
ani faxów
zaczernionych bezradnością
nie wysyłam*

*próbuję przejść
antaktydę stycznia za oknem*

*amazonię nostalgii
przepłynąć czółnem
wydłubanym
ze słowa*

*sahara miękkiego fotela
staje się ledwie
kałużą —*

*odczytam pismo
kopuły dłoni
przemienię w żagłówki
i wyruszę*

6. 01. 97

40

*za wcześniej nasze drogi
skręcają na zachód
za późno spotykamy
dobrych ludzi w drodze*

*tumani nas za szybko
złudna cisza piachu
za późno przecieramy
wpół widzące oczy*

*za wcześniej w uścisk prośby
zamykamy dłonie
zbyt późno dumę kolan
oswajamy z brukiem*

*za wcześniej do wawrzynów
wytęskniamy skronie
patrzeć w niebo za późno —
świt puka do okien*

41

szum brzożowego dymu
z małszewskiego kominka
zginął
w szmerze strumieni
obudzonych słońcem
w dojrzałej dorodności
brzozy wdowy
za oknem

ciemność we mnie
ciska w ogień
polana wyschniętej gruszki

światłość —
wlecze mnie przez pola
i rzuca w ramiona
białej pani
przy drodze nad jezioro

zębami rozrywam jej skórę
sięgam językiem tkanki
aż zielonkawy sok życia
spływa po brodzie

piersiach
udach

wbijam się wargami
najgłębiej
i krzyczę w otwartą nagość
białego wdowieństwa:
— jeszcze!

Małszewo
Wielkanoc 97

